ROK III. Kraków-Podgórze, poniedziałek 4. grudnia 1905. Nr. 327.

2 Cena nru wszędzie ct. (4 hal.)

PRENUMERATA
w Krakowie i Podgórzu miesięcznie 1 K. 40 h.
za odnoszenie do domu dopłaca się 20 halerzy.
Na prowincyi miesięcznie K. 1·50.
Prenumerata za granicą: 1 mk. 50 fen., 2 fr. 50 ct., 1 rs. miesięcznie.

NOWINY

DZIENNIK ILUSTROWANY DLA WSZYSTKICH

OGŁOSZENIA
za wiersz petitu 16 hal., za każdy następny raz 12 hal., drobne ogłoszenia po 4 hal. od wyrazu (minimum 50 hal.). Nadesłane za wiersz petitowy 50 hal., spody na każdej stronie po 2 kor. — Załączniki 20 Koron za tysiąc.
Inseraty prowadzi w swoim zarządzie p. Maryan Hupczyc
Administracya „NOWIN“ Zacisze 7, od 9—1 w poł. i od 2—5 popołudn.

Na Lwów skład i ekspedycya AGENCYA SOKOŁOWSKIEGO Pasaż Hausmana 3.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA:
Kraków, ul. Zacisze l. 7. Telefon 512.
Ekspedycya w drukarni A. KOZIAŃSKIEGO

Redaktor naczelny: LUDWIK SZCZEPAŃSKI.

Wiadomości ustnie, telefonicznie i listownie przyjmuje redakcya (telefon 512) od godziny 7 rano do godz. 8 wieczorem. — Rękopisów nie zwraca się.

„Nowiny“ wychodzą codziennie. — Cena numeru 3 ct. (6 h.) — W poniedziałki i dni poświąteczne 2 centy.

Telegramy „Nowin“.

Z Królestwa Polskiego.

Zniesienie stanu wojennego.

Berlin. Według nadeszłej tutaj wiadomości z Petersburga, ogłasza pet. aj. tel. doniesienie „Gońca urzędowego“, iż podczas trwania stanu wojennego w Królestwie Polskiem nastąpiło stosunkowe uspokojenie umysłów. Stan wojenny został zniesiony na wniosek jenerał-gubernatora. Rząd spodziewa się, że umiarkowane żywioły w Królestwie Polskiem przyczynią się do tego, że kraj ten weźmie udział w twórczej pracy dla dobra państwa rosyjskiego.

Z caratu.

Sprzysiężenie oficerów gwardyi w Carskiem Siole. Jedynie kozacy wierni!

Londyn. Biuro Reutera donosi z Petersburga: Mimo zaprzeczeń uporczywie obiegają alarmujące pogłoski, że w Carskiem Siole, między oficerami gwardyi odkryto sprzysiężenie, w które zawikłany jest jeden z wielkich książąt. Nawet urzędnicy dworscy przyznają, że w Carskiem Siole stało się coś nadzwyczajnego. Pewnem jest, że na gwardyę rząd nie może już liczyć. Jedynie kozacy jeszcze są posłuszni. Jak słychać, **zmobilizowano wszystkich kozaków.**

Berlin. Z Petersburga donoszą, że w Carskiem Siole buntu formalnego nie było, tylko wypadki nieposłuszeństwa, które doprowadziły do aresztowania podoficerów i żołnierzy.

W przeddzień wybuchu rewolucji.

Berlin. Z Petersburga donoszą, że połączenie kablowe z Danją jest przerwane, jak również połączenie telegraficzne z Finlandją. Urzędnicy telegrafu kolejowego nie chcą przesyłać depesz rządowych ani prywatnych i oświadczają, że nie będą także przesyłali depesz potrzebnych dla ruchu. **Ma to nastąpić lada chwilę, a wtedy ruch kolejowy stanie się niemożliwym. Cała prasa postępowa żąda ustąpienia ministra spraw wewnętrznych Durnowa,** któremu zarzucają, że spowodował zaostrzenie sytuacji. **Ogólnem jest zdanie, że najbliższe dnie przyniosą wypadki doniosłej wagi.** Organizacje socjalno-demokratyczna i rewolucyjna chcą **wykorzystać sytuacyę, aby proklamować strejk jeneralny. Rząd jest zdecydowany stłumić bezwzględnie wszelki ruch rewolucyjny.** Miasto robi zwykłe wrażenie mimo oddziałów kawaleryi i kozaków patrolujących po ulicach. Ludność zaopatruje się w środki żywności. Wczoraj aresztowano 25 żołnierzy preobrażeńskiego pułku gwardyi. 15 z nich internowano w twierdzy Piotropawłowskiej. Od kilku dni nie wysłano żadnych gazet ani listów.

Strejk telegraficzny.

Petersburg. Słuchać, że strejk telegraficzny potrwa kilkanaście dni. W wielu miastach strejkuje służba pocztowa. **Strejk ten jest jeszcze szkodliwszym od strejku kolejowego.**

Zapowiadają także wybuch strejku kolejowego w całej Rosyi.

Bunt w telegraficznym oddziale.

Petersburg. Kompania wojska szkoły elektrotechnicznej aresztowana z powodu różnych żądań zbiorowych, także politycznych. Obawiano się buntu, więc pod-

Z TEATRU.

(*„Czerwony bukiet“, komedya w trzech aktach T. Rittnera*).

Wobec takich sztuk, jak ostatnia nowość, recenzent wolałby najchętniej milczeć. Obserwowanie przez dwie i pół godziny próżnych nieudolnych wysiłków autora, tak rozstraja i takim niesmakiem napełnia, że miałoby się ochotę machnąć ręką na wszystko... A tu trzeba pisać i oceniać krytycznie płód poroniony, wydany w męce przez wątły talencik, który wysila się na satyrę, a któremu brak twórczej obserwacji i zmysłu satyrycznego.

Scena, to nie fejleton. P. T. Rittner pisuje do niektórych dzienników fejletony z Wiednia. Wiedeń jest *par excellence* miastem fejletonowem. Zmarły niedawno Herzl, Wittmann, Salten i i., a na skrajnej lewicy Peter Altenberg, psycholog *jours'ów* u pani von Kohn lub Mandelbaum — wydoskonalili w dziennikarstwie typ *einer geistreichen actuelen Plauderei* o wszystkiem i o niczem, o smętku jesieni w *Volksgarten* i o pięknej Otero, o nowożytnej sztuce tapicerskiej i o psychologii króla Hiszpanii, który niedawno Wiedeń odwiedził; wszystko to musi mieć *pointę* i owiane być sentymentem, a czyta się bardzo przyjemnie, jeżeli autor istotnie posiada dowcip i umie żonglować kalamburami.

Pan T. Rittner przejął się zupełnie wiedeńskimi wzorami i naśladuje je we wszystkiem, w sentymencie, w dowcipie i uniwersalności, o ile mu sił starczy. Z dziedziny fejletonu postąpił jednak niebawem na szerszą arenę noweli oraz sceny. I na tem polu okazał się wątłą bluszczową naturą, noszącą wyraźne znamiona gleby wiedeńskiej, mało produktywnej, rojącej się od naśladowców.

Nowelki p. Rittnera, które zdarzyło mi się czytać, są wszystkie dziwnie nienaturalne, bezkrwiste, wyszukane i pretensyonalne: dekadencka imitacya imitacyi. Toż samo dostrzegam w produkcyi scenicznej p. Rittnera. W Krakowie wystawiono mu naiwne naśladownictwo Maeterlincka, względnie S. Przybyszewskiego „Sąsiadka“, rozśmieszające poszukiwaniem oryginalnej sytuacyi, a ideowo puste, jak orzeszek robaczliwy, oraz dramat „W małym domku“, w którym autor, co uznać należy, starał się obserwować życie. Pretensyonalność psychologii wyrządza mu jednak ciągle psikusy.

„Czerwony bukiet“, komedya w trzech aktach, stanowi o tyle postęp w twórczości p. Rittnera, że porzucił sztucznotragiczny smętek swych nowelek i „Sąsiadek“ i spróbował stanąć na gruncie realnym satyrycznej komedyi. Niestety, nie udało się. „Czerwony bukiet“ napisany jest wprawdzie po polsku, ale prócz polskich nazwisk figur, wymienionych na afiszu, *nic w tej komedyi nie ma polskiego.* Wszystko jest tam żywcem wzięte nie z bruku, nie z obserwacyi, ale z reminiscencyi literatury *wiedeńskiej.* Patrząc na tę „polską“ komedyę, pytamy się wciąż: „Gdzież u licha wszystko się dzieje? W Krakowie, we Lwowie, w Warszawie?

Gdzież autor zaobserwował główną figurę sztuki Dudusia Wierzbę Golewskiego, który mieszka razem z aktorką, będącą na utrzymaniu tajemniczego hrabiego, daje się tej aktorce utrzymywać, pożycza od niej po pięć reńskich, — i przyjmuje w jej mieszkaniu śmieszną deputacyę (!) prowincyonalną, złożoną z burmistrza, przedpotopowego mecenasa (!!) i nauczyciela (!!!) — w sprawie budowy

stępem otoczono niezadowolonych i aresztowano.

Sztokholm. Dyrekcja telegraficzna w Sztokholmie donosi, że połączenie telegraficzne z Finlandją i Rosją jest jeszcze ciągle przerwane.

Strejk pocztowy.

Berlin. Według doniesień nadeszłych tutaj z Petersburga donoszą tamtejsze banki, że po zwykle listy adresowane do nich będą wysyłały **specyalnych posłańców** do stacyi pocztowej Eydkuny.

Strejki kolejowe.

Odessa. (Pocztą do Podwołoczysk). Na kilku liniach kolejowych wybuchł strejk.

Ruina.

Petersburg. Donoszą zewsząd o niezmiernych szkodach, wyrządzonych przez pogromy. W Charkowie niemal wszyscy kupcy zamknęli handle. Weksle przychodzą stamtąd z dopiskami: „Jestem zrujnowany, nie mogę płacić“. W Odessie 500 kupców wstrzymało wypłaty; szkody tamtejsze oceniają na 100 milionów. W Rostowie nad Donem 70 fabryk zniszczonych. W Jekaterynosławiu 100 magazynów zniszczonych. W całem państwie ceny wszystkiego idą w górę. Na wielkim jarmarku w Jekaterynosławiu nic nie sprzedano. Szkodę w długach wekslowych obliczają na 60 prc. ich wartości.

Dyskusya w Izbie panów o reformie wyborczej.

Z okazyi dyskusyi nad reformą wyborczą Izba panów ujawniła jaskrawo swą śmieszną, feudalną reakcyjność, zupełny brak zmysłu politycznego u magnatów, jednem słowem Izba panów okazała się przeżytkiem, zebraniem starych uczonych mamutów lub arystokratycznych wielmożów, którzy mają pretensye do rządzenia Austryą, a zgoła nie rozumieją ducha i potrzeb czasu. Ci wszyscy Auerspergi, Pinińscy, Schwarzenbergi odważają się ganić rząd za to, że karabinami i masakrą nie powstrzymał demonstracyi robotniczej! Słusznie też prezydent min. Gautsch napiętnował tę bezmyślną pretensyę zacietrzewionych panów i półpanków, oświadczając w swojej mowie:

Dnia 28 listopada nie chodziło o to, aby na coś pozwolić lub czegoś zakazać, lecz czy rzad ma zastosować środki przemocy, aby stłumić tę manifestacyę, która zresztą nie dała powodu do wkroczenia straży bezpieczeństwa. Mówię specyalnie o tem, gdyż niestety są u nas politycy, którzy chcą w podobnych wypadkach stosować odrazu to, co u innych bywa dopiera *ultima ratio*. — Mogłbym wobec zarzutów z powodu dnia 28 listopada postąpić naodwrót i zapytuję, jaki sąd o mnie wydałyby wszystkie koła Izby, gdybyśmy *dzisiaj boleli nad śmiercią wielu ludzi?* Czyż ci, którzy dzisiaj mówią o przemocy, nie powiedzieliby sami, że użycie jej było niestosownem, a odpowiedniejszą byłaby inna metoda?“

Najśmieszniejsze, a puste pod względem treści było przemówienie hr. Pinińskiego, b. namiestnika Galicyi, najzjadliwsze ks. Schwarzenberga, który aż twierdził, że w razie dokonania reformy, gazetą urzędową będzie „Simplicissimus“. Przemawiali dalej stary prof. prawa Lammasch, Matusz, dr Plener, hr. Schoenborn — wszyscy przeciw reformie, tak jak ją rząd projektuje.

W nadzwyczaj jednak **stanowczej formie** odpowiedział prez. min. dr. Gautsch. Zakończył, mowę tymi słowy: Zdecydowałem się wejść na drogę reformy wyborczej i by uniknąć wszelkich nieporozumień na przyszłość, muszę tu oświadczyć, że tą drogą dalej będę postępował, mimo wszelkich przeszkód i trudności. Jestem przekonany, że wszelkie dalsze zwlekanie z kwestyą reformy wyborczej jest **niebezpieczne** i rząd, który świadomy jest odpowiedzialności wobec państwa i społeczeństwa, inaczej postępować nie może, jak postępuje obecnie.

Omawiając reformy wyborcze z r. 1883 i 1896 podnosi minister, że nadzieje przywiązane do piątej kuryi nie ziściły się. Wszelkie propozycye, jakie się pojawiają, są niedostateczne, pozostają tylko dwie drogi: albo nic nie uczynić i objąć za to odpowiedzialność, albo przyłączyć się do rozwiniętego przez czas prawa wyborczego w kierunku powszechnego prawa wyborczego.

W sprawie poruszonego w dyskusyi przeniesienia prawa wyborczego do Rady państwa na sejmy, może mieć zastosowanie jedno tylko słowo: „Za późno“.

Bo do zmian w Izbie panów, naszkicowany w Izbie poselskiej projekt ogólny będzie przy sposobności w swoim czasie w Izbie panów rozwinięty. Dziś już jednak musi minister wystąpić przeciw zarzutowi, jakoby chciał poniżać powagę tej Izby. Jeżeli zamierza w tym kierunku jaką reformę, to kieruje się przy tem tylko obawą o nawę państwową.

Minister zakończył słowami: Przyznaję i pojmuję, że **muszę iść zaznaczoną drogą do końca, a końcem tym może być tylko sukces lub upadek**. (Poruszenie). Tak jedno, jak drugie potrafię znieść ze spokojem i zimną krwią, jak przystoi patryocie, który niczego innego nie pragnie, jak wielkości ojczyzny i pokoju dla ludów Austryi.

Co słychać w mieście?

Kraków, 4 grudnia.

Dziś w poniedziałek Barbary i Piotra — Jutro we wtorek Anastazego m. — Pojutrze we środę Mikołaja.

Poniedziałek.

Teatr miejski koncert.

Usiłowane samobójstwo. Maryanna Świerk l. 23, służąca w Podgórzu, zażyła koło północy z soboty na niedzielę silną dawkę roztworu z zapałek fosforowych. Pogotowie ratunkowe udzieliło jej pierwszej pomocy i odwiozło w stanie nieprzytomnym do szpitala św. Łazarza. W ciągu niedzieli stan Świerkowej znacznie się polepszył, tak że obecnie nie zagraża już jej życiu niebezpieczeństwo. Powód rozpaczliwego kroku nieznany.

Złodzieje na poczcie zwierzynieckiej. Dzisiejszej nocy urząd pocztowy na Zwierzyńcu omal nie padł ofiarą bandy złodziejskiej, która z wielką zręcznością uplanowała włamanie. Sprawcy zawiesili na górnym ryglu żelaznych drzwi poczty sznurek i przeciągnęli go dołem do sieni, tak, aby mogli później przez szarpnięcie drzwi odryglować, zaś z dolnym ryglem nie mieliby wiele do roboty, gdyż drzwi dołem nie dostawały podłogi i tworzyły znaczną szparę. Tych przygotowań, dziwnym trafem, na poczcie nikt nie zauważył, więc też złodzieje w niedzielę koło 3 rano rozpoczęli robotę, koło otworzenia drzwi. Na szczęście złodziei spostrzeżono i spłoszono, żadnego z nich jednak nie ujęto. Śledztwo wzięła w swe ręce krakowska policya i jest już na tropie włamywaczy.

kolei? Gdzież to w kraju ujrzał autor taką naiwną gąskę Lili, żonę muzyka z „Jodłowiec“, która zupełnie *sans gene* obraca się w *milieu* półświadka? Gdzież to autor zaobserwował matkę teatralną (*eine Theatermutter*) Anielską i jej córeczkę, której ojciec nazywał się Mandelbluh?

Ani w figurach, ani w sytuacyach nie ma nic polskiego; wszystko jest próbą przekładu z literatury wiedeńskiej na język polski; pojęcia, styl — wszystko jest wiedeńskie, niemieckie.

Jeśli jednak nawet spróbujemy patrzeć się na „Czerwony bukiet“ jako na utwór tłomaczony, to wobec nieudolnej faktury naiwności kompozycyi nie możemy być pobłażliwymi.

Autor zadużo od nas wymaga. Domyślamy się pod koniec sztuki, o co autorowi chodziło: O satyryczne przedstawienie sangwinicznego temperamentu, który nie traci rezonu nawet pod wozem i bierze życie z dobrej strony, umiejąc miarą swoją ożywiać całe otoczenie. Ale nawet godząc się na przesadę satyryczną, nie można akceptować sytuacyj, na które zdobywa się inwencja autora.

Publiczność siedziała na premierze zupełnie bezradna, nie wiedząc co z tym fantem począć. Tu i owdzie jakieś dowcipne powiedzenie rozśmieszało i ratowało sytuacyę, ale trzeci akt przepełnił miarę.

Dobrze, że były tylko trzy akty... Również gra ratowała sztukę. Pani Ordon Sosnowska, postać aktorki odtworzyła z wielką finezyą i humorem. Wyborna była pani Słubicka jako matka teatralna; bardzo dobrze wywiązała się z zadania panna Kośnierska. P. Zelwerowicz grał bohatera i udawało mu się nad podziw figurze tej nadawać znamiony życia. Niestety nic nie ocali tego bukietu od zwiędnięcia.

Ludwik Szczepański.

Wydawca: Lucyna Szczepańska. Redaktor odpowiedzialny: Ludwik Szczepański. **Z drukarni i stereotypii A. Koziańskiego w Krakowie.**

ZAJĄC
opowieść wiejska.

Był pogodny ranek jesienny.

Na drodze panował ruch niezwykły. Na furach i pieszo, dążyli ludzie ku miasteczku, niektórzy prowadzili krowy lub woły; owdzie kobieta szamotała się z „gadziną", i szarpiąc ją umocowanym u tylnej nogi postronkiem, tam znów znów jakaś jejmość z waszecia dumnie spoglądała z wysokości rozklekotanej bryczki, owdzie przemykał na biedce żydek spekulant, okładając biczem wychudzoną szkapinę.

Wszyscy dążyli do jednego celu — a wszystkim było pilno, każdy się spieszył.

Bo też to i dzień nadzwyczajny. Wtorek po św Marcinie, wielki jarmark w Okpiszewie, sławny na całą okolicę. Na ten dzień ściągali do Okpiszewa z sąsiednich, a nawet bardziej odległych miasteczek czapnicy, szewcy, bednarze, blacharze, handlarze sukman i kożuchów. Rozbijali oni swoje kramy i namioty na rynku, ustawiali półki, głosem ochrypłym zachwalając swój towar.

Okpiszewscy żydzi na dwa tygodnie naprzód przygotowali zapasy w szynkach, sklepach, kramach: cieszyli i radowali się, żałując zarazem, że ten święty Marcin nie bywa przynajmniej co tydzień.

Na drodze aż się czerniło od fur, można było słyszeć wesołe rozmowy podróżnych, kwik trzody, lub też przeciągłe ryczenie krów, oglądających się ciągle za wioską, z której je wyprowadzono.

Wśród pieszych szedł także Michał Gil, gospodarz z Zawadówki, z małżonką swoją Magdą, młodą jeszcze, przystojną kobietą.

Michał szedł zamaszysto, kijem się sękatym podpierał, na plecach miał kobiałkę łubianą, u pasa kozik i krzesiwko, jak na porządnego gospodarza przystało. Żona dotrzymywała mu kroku, o tyle, o ile „gadzina“ prowadzona przez nią na jarmark, nie szarpała postronkiem i nie zbaczała do rowu,

— Widzisz Michale — mówiła baba — chciało ci się samemu iść na jarmark, ale niedoczekanie twoje! Ja dziewką jeszcze byłam u ojców, w chałupie i dlatego żaden jarmark bezemnie się nie odbył — a teraz na swojem gospodarstwie, mam w taki dzień siedzieć jak zamurowana.

Chłop ręką machnął.

— Zawdy — rzekł — jeno pretensye masz. Chciałem iść sam, bo interes mam taki, że do niego baba tak potrzebna, jak dziura w moście, albo jak nieprzykładając, dyabeł w Częstochowie.

— Ot zamknij lepiej gębę; żebyś w złą godzinę nie wymówił! Interes ma! ciekawość, jaki to interes, co może być bez „baby?“ Chyba kozę pójdziesz odsiadywać.

— Nie będę ja nic odsiadywał — bom nikogo nie zabił, ani inszej rzeczy nie zrobił — a do interesu... tfy? niech cię marności...

— No — a co?

— Chyba nie widziałaś? zając przez drogę przeleciał... i jeszcze pytasz się co? Magda — dodał ciszej — mnie się widzi, że lepiej się wrócić.

— Przez głupiego zająca? a żeby on skapiał prę-

dzej. Nie słyszałeś ty, jak ksiądz na ambonie przykazywał, żeby w takie głupie bajdy nie wierzyć?

— Et, ksiądz księdzem — a zając zającem. Przepomniałeś to już, jak łońskiego roku na wiosnę, jakem do lasu jechał i baba mi drogę przeszła, to mi się koło złamało?

— Czy baba winna, żeś wozu w domu nie opatrzył. Sprawiedliwie powiadają: że lichej tanecznicy, to i obrąbek zawadza, inszy niezguła porządku koło woza nie dojrzy, a jak mu się w drodze szkoda zrobi, to na babę spędza, albo choć i na zająca.

Chłop zaczął się w głowę drapać.

— Nie — rzekł — nie, Magdusiu, chyba się zawróćmy, bo co guza szukać? Mówię ci, że będzie nieszczęście.

— No — a jakże z tym interesem, co bez baby miał być?

— Obejdzie się.

— Niby jak?

— A tak, mam stare buciska, to w nich siako tako do godów przechodzę.

Echę! toś ty taki interes miał? buty chciałeś kupić?

— A ty skąd wiesz?

— Skąd? Musiał mi ten zając powiedzieć, coś go się zląkł jak złego.

Chłop usiadł nad rowem i usiłował przekonać żonę, żeby nie iść.

Powiadasz — mówił — że ksiądz zakazuje, no, dobrze, o babie zakazywał, bom sam słyszał — ale o zającu nie mówił.

— Słuchajno, Michał — odrzekła żona, trącając go w bok — albo ci ja kiedy krzywa była? albo ja

o twoje dobro nie dbałam? czy ja latawiec? czy ja tobie nie gospodyni, nie żona, twoim dzieciom nie matka? Czy to nie dbam, nie haruję jak wół?

— No jużci, to prawda, po sprawiedliwości, ja sam powiadam, żeś rzetelna kobieta, poczciwa; ale też i ja dla ciebie nie pies; krzywdy odemnie nie masz, a choć się przemówimy czasem, to gnatów ci nie przetrącam, jak inni swoim kobietom, nie krzywdzę, przyodziewek też masz jak się patrzy, głodu nie mrzesz.

— Zgrzeszyłabym też, żebym powiedziała, że nieprawda; przemówienie to swoja rzecz, a choć mnie jeszcze po ostatniem plecy bolą i stara Zagnańska musiała mnie wódką z psiem sadłem smarować, jednak ja sobie nie krzywduję. Zawdy ty mnie mąż, a ja tobie żona, a co Pan Bóg miłosierny złączył, tego nic nie rozłączy, jeno rydel a motyka. Wstań, wstań, Michałku, pójdziemy, co tam będziesz brał do serca —, chodź.

Chłop namyślał się.

— Oj, oj! — mówiła dalej kobieta — wszyscy wy chłopi jednacy, a nie przykładając, wszyscy szelmy. Nie bój się, żebym tak temu dziesięć lat, jeszcze kiedy u ojców w chałupie byłam, żebym tak, na to mówiący, rzekła: chodź, Michałku, tobyś na stado wilków nie patrzył, jeno leciał. Może nie?

— Ha, albo ja wiem, powiadasz, żebym leciał i mnie się widzi, żebym leciał — dodał, śmiejąc się. Zresztą dziś przecie zły dla ciebie nie jestem. Gadasz iść: ha! ryzyk fizyk! co będzie to będzie, idę!

— Ot tak to ale! taki stateczny gospodarz, ot taki chłop, żeby się głupiego zająca bał! Chodźmy, prosięcinę sprzedamy, choć biedne za siedm rubli, zaraz

sobie chustkę kupię i dzieciom obwarzanków choć z dziesięć, niech tam i one robaczki mają uciechę.

— I ja im kupię, jeno wpierw buty—to najpierwsza rzecz.

— Najpierwsza rzecz, a chciałeś sam kupować bezemnie!

— A juści, bo ja chcę wedle nowej mody, foremnie, a ty może...

— Nie pleć, pleciugo, nie pleć. Toć nieraz sama ci gadałam, żebyś sobie kupił galante buty nowomodne, jak młodzi gospodarze noszą, bo patrzeć nie mogę, jak się telepiesz w takich stęporach, rychtyk jak koń po grudzie. Już ja ci sama buty naraję, jak się patrzy.

— Ech! alboś ty na rzemień znawczyni?

— Nie — tylko chłop to już na wszystko znawca, wielka rzecz rzemień, aby mocny był to i już. Tak rozmawiając zbliżyli się do Okpiszewa. Już na moście był ścisk okropny. Dzierżawca rogatki kłócił się o kopytkowe, faktorki i przekupki przeglądały wszystkie fury, kilkunastu dziadów śpiewało na całe gardło; jeden o św. Mikołaju, drugi „kto się w opiekę,“ dziesiąty o świętym Rochu, obrońcy od morowego powietrza i zarazy.

Michał dał jednemu dziadowi trzy grosze na pacierz do Przemienienia Pańskiego, bo jednak nie mógł mu ten zając wyjść z głowy.

Wszakże, wbrew wróżbie, interesa odrazu poszły doskonale. Za prosiaka wedle obliczeń Michałowej miało być tylko siedm rubli, tymczasem rzeźnik niewiele się targując, dał za niego dziewięć rubli i złotych dwa, przybił Michałowi rękę, aż się po całym rynku rozległo i jeszcze litkup zapłacił.

Co prawda, w Okpiszewie na św. Marcin bywali porządni rzeźnicy, aż z pod Węgrowa podobno.

Uradowani małżonkowie pragnęli też zaraz załatwić sprawunki.

— Słuchajno, Michał — rzekła baba — mnie się widzi, że pasowałoby ci kaszkiet kupić, takie masz wielkie czapczysko, jak nieprzykładając wronie gniazdo; kożuch na nic zrudział, denko wypłowiało i wstążczyna, że tylko na śmiecie wyrzucić.

Żyd czapnik podsłuchał rozmowę i wnet chwycił Michała za rękę.

— Aj waj, gospodarzu — zawołał — jaką wy macie rozumną kobietę, aj waj, jaką rozumną! Co ona w swojej głowie ma, to prawdziwy majątek. Żeby wy tyle zboża w stodole mieli, co ona ma w swojej głowie rozumu!

— Nie szczekaj żydzie — rzekła Michałowa — jeno daj kaszkiet, rzetelny kaszkiet z daszkiem.

— I to macie recht, na co jemu staromodna czapka? Taka czapka barania, jak konewka, to ciężka jest, trzeba mieć zdrową szyję, aby mogła udźwignąć głowę z takim baranem, trzeba bydlęcej szyi na taki interes.

— Magduś — rzekł Michał — a może i lepiej zamiast kaszkietu czapkę kupić, teraz do zimy idzie, mróz; czy do lasu, czy jak, zawsze cieplej.

— Macie recht gospodarzu — rzekł żyd, wybierając ogromną czapę baranią — macie recht! Teraz do zimy idzie, kto nosi kaszkiet, żeby wiater mu świstał koło uszu! Ja wam co powiem: lekki człowiek, lekka czapka, stateczny człowiek, stateczna czapka! Po czem poznać siłę w koniu? po ogonie — a po czem poznać osobę? po głowie! a że każda głowa jednakowa jest,

to trzeba poznać po czapce! Kto nosi kaszkiet? pisarczyk od wójta, a kto nosi taką czapkę? sam wójt! Aj waj! aj waj! czekajcie — niech no ja wam wybiorę kawałek czapki w dobrym gatunku, coś fajn!

Tu mówiąc, żyd wsadził Michałowi na głowę' olbrzymie czapczysko i natychmiast zwracając się do Michałowej zapytał:

— Gospodyni! pani gospodyni! słuchajcie no, gdzie się wasz chłop podział? gdzie się podział wasz chłop co tu stał niedawno, gdzie on się podział?!

— A toć stoi przed tobą — rzekła z gniewem baba — gdzie się miał podziać — toć się w ziemię przecież nie zapadł!

— Na moje sumienie ja jego nie poznałem w tej nowej czapce, żebym tak nieszczęścia nie widział; tu stał sobie chłop, zwyczajny chłop, jak dużo chłopów jest, a teraz taki gospodarz, taka osoba, że na całą gubernię takiego nie zdybać! Ja jak żyję na świecie, nie widziałem, żeby jaki wójt tak wyglądał. Ale też to jest kawałek czapki! aj waj! jaki to kawałek czapki jest!

— No Magda! jak? — zapytał Michał — jak ty mi radzisz... kaszkiet, czy czapkę?

— A no, albo ja wiem, może według zimy i czapkę a na św. Jan kupisz sobie kaszkiet, jak zechcesz.

— Aj, aj sprawiedliwie pani gospodyni powiada, ja nawet nie wiem, gdzie wy na wsi taki rozum zdybali! Na moje sumienie!

Po długim targu, odchodzeniu, zawracaniu kilkakrotnem, Michał został właścicielem wspaniałej czapki, która z daleka szczególniej wyglądała prawdziwie jak wronie gniazdo.

Michałowa sprawiła sobie chustkę bardzo piękną, w której barwy czerwona, zielona i żółta kłóciły się z sobą zawzięcie i nareszcie, przed zmrokiem jeszcz, zrobiony został najważniejszy sprawunek... buty.

Szewc z czerwonym nosem, znany na wszystkich jarmarkach, zaklął się na wszystkie świętości, na żonę, na dzieci, na zbawienie duszy, że rzemień na butach jest mocny jak żelazo, a fason najświeższy warszawski; że podkówek najlepszy kowal obcęgami nawet nie oderwie i że nareszcie w tem obówiu można stać w wodzie przez rok i sześć niedziel i nie przemoczyć się wcale. Zapewnił, że z tego samego towaru robił buty dla dwóch młynarzów i rybaka, przyczem opowiedział bardzo ciekawą historyę. Jeden człowiek, kupiwszy buty, takie same właśnie jak Michał sobie wybrał, łowiąc ryby na jeziorze utonął i dopiero w pół roku później woda wyrzuciła go na brzeg. Cygan, który właśnie tamtędy przechodził, pozazdrościł topielcowi pięknych butów i ściągnął je, potem dostał się do sądu i w tychże samych butach przesiedział dwa lata w kryminale — ale nie dość na tem, bo wyszedłszy z kryminału, sprzedał je żydowi za cztery złote podobno.

Doprawdy, od takiego majstra jak ów szewc nie żal przynajmniej kupować, bo to i majster dobry i człowiek wymowny, umie towar zachwalić i uszanować każdego, nie targuje się jak żyd; jak może co opuścić z ceny, to opuści i da statek porządny, co się zowie — i nie obedrze człowieka.

Jarmark powiódł się Michałom. Prosiaka sprzedali dobrze, kupili piękną chustkę, czapkę, buty, obwarzanków dla dzieci, a oprócz tego Michałowa zaopatrzyła się w duży garnek gliniany, polewany, o jakim już